

„Są światy inne niż ten”
- Jake,
„Mroczna Wieża”, S.King.

Promienie słońca leniwie padały na zmurszałe bloki z wielkiej płyty, postawione tu za wczesnego Gierka. Między budynkami znajdowały się niewielkie place zabaw z piaskownicami i drabinkami, lecz zamiast bawiących się dzieci, można spotkać tu trudną młodzież z butelkami piwa w ręku i kapturami na głowie. Nieliczne patrole policji, przejeżdżały naprędce, aby nie rzucać się w oczy chuliganom i dresiarzom siedzącym pod blokiem.

Na zakurzonych, brudnych, gdzieniegdzie obdartych z tynku ścianach widniały wulgarne napisy, których autorzy nie potrafili się dobrze wystowić, a co dopiero napisać sentencję wykrzykiwaną codziennie pod blokiem. Owe zachowanie było całkowicie normalne na takich patologicznych osiedlach, bo zazwyczaj tylko ludzie o mentalności Wandali czy innych Hunów pozostali na tej wspaniałej zielonej wyspie, która okazała się być szarą wyspą rzeczywistości.

W jednym z tych zszarzałych bloków mieszkał 9 letni Marek - wysoki, chudy z czarną czupryną spadającą na oczy sprawiał wrażenie anemika i osoby odciętej od rzeczywistości. Był zdolnym uczniem i w szkole dostawał same dobre oceny. Nauczyciele i starsza panie spod bloku mówiły o nim, że jest „przyszłością narodu”. Rówieśnicy i starsze dzieci z osiedla nazywali go natomiast „frajerskim konfidentem” lub też „kujonem”, co raczej nie przysparzało mu popularności na dzielnicy.

Jak zwykle popołudniu siedział przed telewizorem, by odpocząć po całym dniu nauki. Był dopiero początek czerwca, także zostało mu zaledwie kilka tygodni, aby skończyć trzecią klasę i rozpocząć wakacje. Oczywiście świadectwo dostanie z wyróżnieniem, co sprawi radość jego matce.

Marek mieszkał ze swoimi rodzicami. Matka była bezrobotną kobietą, która zaszła w ciążę kilka miesięcy przed swoją maturą. Musiała rzucić szkołę, aby móc opiekować się swoim dzieckiem. Miała ładną twarz z nielicznymi zmarszczkami, które sprawnie ukrywała pod lekkim makijażem. Gdyby nie wpadka byłaby prawdopodobnie stewardessą, bo bardzo lubiła podróżować, dodatkowo podoba się facetom, więc nie miałyby problemów z zatrudnieniem.

Jej mąż natomiast był wysokim, dobrze zbudowanym okolicznym dresem. Nie przepadał za nauką, bo wiedział, że czeka go kariera boksera albo innego sportowca. Gdy okazało się, że będzie ojcem, został zmuszony do ślubu przez swojego „tatkę”(jak go pieszczotliwie nazywał), który był oficerem wojskowym. Aby móc wyżywić rozrastającą się rodzinę, starszerek zaklepał mu ciepłą posadkę w armii. Jednak nie zagrzeł tam długo miejsca i wyruszył do Serbii, jako ochotnik misji pokojowej, gdzie został postrzelony w nogę. Wrócił do kraju, dostał rentę i zaczął opowiadać chłopakom z osiedla, jak to bohaterko gwałcił, zabijał i lał po mordach każdego, kto się napatoczył.

- Znow oglądasz te chińskie bajki? – matka wyjrzała z kuchni i patrzyła się na siedzącego po turecku syna. Ten wpatrzony w ekran 32-calowego telewizora nawet nie zareagował, gdyż wiedział, że ona nigdy nie zrozumie jego uwielbienia do animowanej kreski z Kraju Kwitnącej Wiśni.

Kobieta podeszła do niego i pogłaskała po głowie. Rzuciła okiem na zegar wiszący w przedsiionku, wskazujący godzinę piątą popołudniu. Nerwowo spojrzała na drzwi wejściowe, a następnie na Marka.

- Wyszedłbyś gdzieś póki ładna pogoda. Na podwórko pograć w piłkę, czy się pobawić z innymi chłopakami.

- Nie chce mi się, mamo!

- A co z Grzesiem, albo Marcelem? Oni pewnie chcą sobie pokopać piłkę – kontynuowała.

- O tej porze? – w głosie chłopca wyczuła drwinę. – Łysy i tak pewnie siedzi pod blokiem.

Boisko, a raczej betonowa płyta z wbitymi dwoma metalowymi rurami, było zazwyczaj nieużywane przez nikogo. Łysy, Biały, Mauzer i kilku starszych chłopaków z zawodowych klas całkowicie zdominowało osiedle i rządzili nim niepodzielnie. Terroryzowali młodszych od siebie zabierając im piłki bądź tornistry, zjadając kanapki do szkoły i kradnąc kieszonkowe. Policja nic z tym nie robiła, gdyż każdemu ze świadków przydarzały się dziwne wypadki – niektórzy mieli złamane nosy lub siniaki na pół twarzy, czasami także powybijane szyby mieszkań, bądź porysowane samochody. Status quo niepodzielnie panował na dzielnicy i mimo strachu dzieci, nikt się nie wychylał, bojąc się utraty zdrowia bądź dobytku.

- Pewnie masz rację – westchnęła matka i wróciła, aby nałożyć obiad dla rodziny. Ojciec, zawsze wracał kilka minut po godzinie siedemnastej. Jego żona już dawno przestała się go pytać, gdzie był i co robił, ponieważ kończyło się to awanturą, a czasami także podbitym okiem. Mężczyzna zazwyczaj przebywał u swojego kumpla z wojska i razem siedzieli popijając wódkę i oglądając jakieś mecze w telewizji, bądź wspominając stare czasy.

Głowa rodziny zjawiała się kwadrans po piątej. Olbrzymiej postury facet wszedł do mieszkania chwiejnym krokiem pijanej żmii i spoczął przy kuchennym stole, na swoim miejscu. Spojrzał na rozkładającą talerze małżonkę, która mimo czterdziestu lat na karku dalej mu się podobała. Z resztą, wszyscy jego koledzy na nią lecieli niczym pies na szynkę. Gdy już nacieszył oczy wyglądem swojej ukochanej, przeniósł wzrok na swojego syna.

- Młody! – krzyknął ochryplym, przepitym głosem. – Młody!

Marek zadrżał. Wiedział, że gdy ojciec woła nie należy czekać. Wstał więc, wyłączył telewizor i nieśpiesznym krokiem, na tyle szybkim, by nie otrzymać ciosu, lecz na tyle wolnym, by jak najdłużej odwlec nieuniknioną konfrontację, udał się na spotkanie przeznaczenia.

- Tak, tato? – zapytał i mimo przerażenia powstrzymał drżenia rąk. Wiedział, że ojciec nienawidził jakichkolwiek oznak lęku i tchórzostwa. Lubił też karać za butę i nadmiar odwagi, dlatego trzeba było być ostrożnym, zwłaszcza gdy był pijany.

- Młody! – nie zniżył tonu, mimo że jego syn stał zaledwie pół metra od niego. Wyjął z kieszeni portfel i wyszperał w nim garść groszaków, które starannie przeliczył.

- Kup mi czteropaka! Masz! – cisnął mu w rękę kilkadziesiąt monet, a część z nich spadła na podłogę. Gdy Marek zaczął je zbierać, zaśmiał się szydlerczo i wpatrywał się w syna, który przypominał mu pstrąga miotającego się w rybackiej sieci. – Oferma!

Chłopak uwinął się szybko ze zbieraniem wszystkich monet rozrzuconych po gumoleum w kuchni. Wiedział, że miał szczęście, gdyż ojciec jest w dobrym humorze. Stał naprzeciwko niego i skupił się na swoich stopach. Po co kusić los nadmierną pewnością siebie.

- Tato, ale mi nie sprzedadzą... - kątem oka spojrzał na siedzącego przed nim giganta, gotowy by uciec, jak ten skoczy na niego by go uderzyć. Jednak nic takiego nie miało miejsca, bo wtrąciła się, krzątająca się w kuchni, kobieta.

- Może ja pójdę? – zapytała nieśmiało.

- Siedz gdzie twoje miejsce! – odpowiedział nawet nie patrząc w jej stronę. Jego szare, niewielkie oczy wpatrywały się przeszywająco w chłopca, który zdawał się kurczyć im dłużej wzrok padał na niego. Dzieciak nie był już pewny samopoczucia olbrzyma i wołał jak najszybciej odejść. – Młody powinien wiedzieć, co to znaczy być mężczyzną!

- Ale przecież...

- Zamknij ryj, mówiłem! – poderwał swoje ogromne ciało z krzesła i uderzył wielkimi, niczym bochen chleba, dłońmi o blat stołu, który głośno zaskrzypiał i prawie rozpadł się na drzazgi. – Gdy mówię do syna masz siedzieć w kuchni i zajmować się swoimi sprawami, a w moje wychowanie nie masz prawa się wtrącać, zrozumiała?!

Kobieta potaknęła i odwróciła się, by nakładać obiad. Chłopiec jeszcze chwilę wpatrywał się, to na ojca, to na matkę i wysypał pieniądze do kieszeni swoich jeansów. Szybkim krokiem przeszedł do przedpokoju, założył zdarte, czarne trampki i wyszedł z mieszkania.

Klatka była jeszcze bardziej obskurna niż osiedle. Na starej, matowej farbie widniały miłosne deklaracje powypisywane przez polski kwiat młodzieży. Starsi bywalcy tego lokum pozostawili po sobie pogaszone pety i rozbite butelki. Natomiast zapach przypominał miejski szalet, gdyż okoliczna żulernia załatwiała tutaj swoje potrzeby. To wszystko dlatego, że dostać się do środka nie było jakimkolwiek problemem - od kilku lat domofon nie działał i każdy mógł wejść kiedy chciał.

Marek szybko ruszył schodami w dół. Ominął niedziałającą już od kilku lat windę i, przeskakując wszystkie żółte kałuże oraz rozsypane kawałki szkła, wyszedł na dwór. Starając się nie zwracać niczyjej uwagi przeszedł obok trzech nieletnich dresiarzy, zajętych paleniem fajek i piciem najtańszego piwa.

Osiedlowy sklep znajdował się niedaleko. Był otwarty całą dobę i zwabiał pod swoje strzechy lokalnych meneli, dresiarzy oraz studentów zamieszkujących okoliczne bloki. Wyglądem przypominał późny PRL, gdzie ekspedientki, w podeszłym wieku, patrzyły wilkiem i ignorowały potrzeby klientów zbywając lekceważącym tonem.

Popołudniu zazwyczaj nikogo nie było przed wejściem, poza najbardziej wytrwałymi alkoholikami. Chłopiec, szybko ich dostrzegł, siedzących na sklepowych schodkach. Spuścił więc głowę licząc, że nie zauważą niewielkiego chłopca, podążającego do spożywczaka.

- Panie kierowniku! – przepity głos jednego z pijaków sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach. Nie zatrzymał się jednak i pospiesznym krokiem minął ulicę, nawet nie rozglądając się za nadjeżdżającymi samochodami.

- Panie kierowniku! – powtórzył ktoś ponownie.

- Spieprzaj! – odpowiedział mu młody koksiarz w ortalionie, niemalże wielkości sklepowych drzwi, idący za rękę z dziewczyną, o której mówią, że tapetę musi zeszkrobywać szpachelką murarską.

Żul umilkł i wetknął swoją zakrzaczoną twarz w ramiona, a wzrokiem sięgnął końcówek umorusanych butów. Marek zwinnie wyminął go i wszedł do sklepu. Przywitał go zapach chemikaliów, którymi czyszczone były posadzki i blaszane ściany. Przeszedł do końca lady, mijając zamrażarki z mięsem i serami. Przed nim nie było nikogo, więc niepewnie stanął naprzeciwko ekspedientki.

- Czego? – zapytała niemile, nie odrywając nawet wzroku od programu telewizyjnego, który czytała by śledzić losy bohaterów swoich ulubionych seriali.

- Poproszę...

- Jadźka! – wyskrzeczła swym brzydkim, przypominającym bulgot ropuchy, głosem. – Wojtuś się żenić będzie w weekend!

- Który Wojtuś? – drugi głos, niemalże identyczny jak poprzedniczki, odpowiedział zza zaplecza.

- Ten doktor z „Na chorobę i smutki!”. No wiesz, z Magdą, co go zdradzała z tym drugim lekarzem...

- Darkiem?! – bardziej oznajmiała niż pytała druga ekspedientka.

- Tak, ta sama lafirynda! Biedny chłopak – westchnęła cicho stare babsko. – Czego, mówię?!

- Cztery najtańsze piwa, proszę – wyjął rękę pełną drobniaków z kieszeni. Oblicze kasjerki rozszerzyło się w okropnym, szerokim uśmiechu ukazującym poźółtką, sztuczną szczękę, pełną szerniałych ubytków.

- Kochanieńki, a dowodzik jest?

- Nie, ale...

- To nie ma piwa – oznajmiła i wróciła studiować kolorowego szmatławca.

- Wysłał mnie mój tata...

Stara raszpla zdjęła swoje grube okulary i spojrzała na chłopca, niczym na natrętnego owada. Nawilżyła wargi szybkim ruchem języka, jak gdyby rzeczywiście była ogromnym płazem, i wskazała mu ręką drzwi, którymi przed momentem wszedł.

- To skoro tatusiowi chce się złopać cholerne piwsko, to niech sam ruszy dupsko sprzed telewizora i się tu zjawi, a nie wysyła gówniarza. Wypad!

Marek cichutko westchnął i zawrócił. Wyszedł ze sklepu i szybkim truchtem ruszył przed siebie, wybiegając poza zasięg zebrzącej meneli. Wiedział, że ojcu nie spodoba się to, że przybędzie bez niczego. Prawdopodobnie nakrzyczy na niego i nie pozwoli mu zjeść posiłku, który i tak przemyci mu mama wieczorem, gdy głowa rodziny będzie pogrążona w pijackiej drzemce.

Do mieszkania dotarł w chwilę, krótszą nawet niż reklamy w telewizji. Niemalże bezgłośnie zamknął za sobą drzwi, a wymagało to ogromnych umiejętności, bo zawiasy nie były oliwione od kiedy wprowadził się tutaj z rodzicami. Pech chciał, że kliknięcie zamka usłyszał ojciec i już w kuchni zawołał syna po imieniu.

Chłopak zbliżył się z marsową miną. Mężczyzna pałaszował gorącą grochówkę, którą tak bardzo uwielbiał i za którą mógł zabić (w dosłownym znaczeniu, o ile wierzyć jego słowom, co do powodu walki w wojskowej stołówce). Gdy spostrzegł chłopca uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe zęby. Sam grymas wydawał się dla Marka przerażający, jakby stanął przed obliczem demona czy innego diabła. Mimo to podszedł kilka kroków i wtedy mężczyzna dostrzegł brak jakiegokolwiek reklamówki, siatki czy też wybałuszeń w kieszeni syna. Od razu wiedział, że nie ma przy sobie piwa.

Olbrzym odłożył pajdę chleba i łyżkę na stół. Powoli, ociężale podniósł się z krzesła. Chłopiec zadrżał i cofnął się o krok. Zrobił to jednak zbyt wolno i otwarta dłoń ojca uderzyła go w twarz. Siła ciosu była ogromna dla ucznia szkoły podstawowej, który upadł płasko na brudny, zakurzony dywan.

- Gdzie jest mój browar!?! – zapytał spokojnie, jednak w jego głosie wyczuwało się narastający gniew.

- Nie mam. – Marek złapał się za policzek, który już zaczął puchnąć. Wiedział, że wkrótce będzie miał fioletowy siniak wielkości połowy twarzy.

- Jak to „nie masz”? – ojciec uklęknął tuż obok trzęsącego się ze strachu syna. – Wy tłumacz mi, jak to się stało, że nie kupiłeś mi piwa?

- Nie sprze... - nie dokończył. Kolejny cios, tym razem w drugi policzek, sprawił, że prawie zemdłał. Mężczyzna uniósł go, trzymając za koszulkę i wszedł z nim do kuchni. Matki nigdzie nie było. Siedziała zapewne na kanapie w drugim pokoju i oglądała „Na chorobę i smutki”, gdzie główny bohater oświadczył się drugoplanowej aktorce.

- Wiesz co u nas na jednostce robiło się z takimi mięczakami? – usadził go na krzesło, na którym przed chwilą sam się znajdował. Delikatnie wziął dłoń syna i szybkim ruchem włożył ją do gorącej zupy. Marek wrzasnął, starając się wyszarpać rękę, jednak tytaniczny chwyt, znacznie silniejszego od niego, ojca nie ustępował.

- Zrozumiałeś? Synu? – zawsze się tak do niego zwracał gdy był rozczarowany, a raczej wściekły na zachowanie swojego potomka.

- Tak, tato! – wycharczał, powstrzymując cisnące do oczu łzy. Płacz jeszcze bardziej rozwścieczyłby ojca. Minęła chwila i oprawca pozwolił wyjąć dłoń z talerza, jednocześnie spychając chłopca z krzesła.

- Pójdiesz tam jeszcze raz i kupisz mi to piwo, jasne?

Gdy mówił te słowa do pomieszczenia weszła wystraszona matka, martwiąca się dochodzącymi z kuchni krzykami.

- A ty gdzie? – ojciec odwrócił się w jej kierunku i wskazał palcem pokój, z którego przed chwilą wyszła. W tym momencie syn sięgnął po leżący na desce do krojenia kuchenny nóż i pod wpływem impulsu zaszarżował na olbrzyma. Tuż przed zadaniem ciosu potknął się o lekko wysunięty spod stołu taboret i ostrze, zamiast rozciąć brzuch, ześliznęło się po ramieniu.

- O ty gówniarzu! – dzieciak poczuł na swoim karku żelazny chwyt wyćwiczonych, stalowych mięśni stawiających go do pionu. Czuł się całkowicie bezbronny - nie miał już przy sobie noża, gdyż wypadł mu podczas upadku. Stał teraz na drżących nogach przed ponad dwukrotnie większą bestią w ludzkiej skórze.

- Coś ty chciał mi zrobić, synu? Zabić? – uderzył go za całej siły, aż ten runął na pobliską szafkę. Upadł na kafelki nie mogąc nabrać powietrza.

- By kogoś zabić trzeba mieć jaja! – tym razem kopnął go w szczękę, a kilka zębów obluzowało się. Z nosa buchnęła krew. Zachłysnął się nią i wypluł na podłogę. Kolejny cios spadł na potylicę, a następnych już nie czuł. Leżał bez ruchu, jakby sparaliżowany. Zamknął na chwilę oczy i otworzył je ponownie. Nie stracił jeszcze przytomności.

- Jezus, Maria! Zostaw go! – kobieta podbiegła i stanęła pomiędzy synem a mężem. Drżała, lecz mimo tego dzielnie blokowała wściekłego mężczyznę przed zakatowaniem jej maleńkiej pociechy, dla której poświęciła swoją młodość i karierę.

- Zejdź mi z drogi, babo!

- Nie! – desperacko wydarła się na męża.

Olbrzym westchnął głośno i podszedł do leżącego na podłodze noża. Uchwycił go w swoje mocarne łapska i pokazał żonie.

- Widzisz, co ten gnojek chciał mi zrobić? Swojemu ojcu?

- Zostaw go, proszę – kobieta upadła na kolana błagając. Spostrzegła w jego oczach ogień wściekłości, którego nigdy wcześniej nie widziała, a znała go ponad dziesięć lat.

- Zobacz suko, co chciał mi zrobić!!! – podskoczył do niej i ciął ją w brzuch. Ostrze zagłębiło się głęboko w ciało, a na sukience rozlała się szkarłatna plama krwi. Mężczyzna wyszarpnął nóż i wbił ponownie, tym razem w inne miejsce. Powtórzył to kilka razy, wyklinając ją, że wydała na świat takiego niewdzięcznika, za którego uważał swojego syna.

Kobieta zsunęła się na ziemię, a jego furia przygasła. Spojrzał na leżącą pod jego stopami dwójkę ludzi. Zmielił przekleństwo w ustach i poszedł do łazienki. Postanowił, że zastanowi się nad tym, co zrobić dalej, w świątyni dumania, jak raczył zwać kibel.

Gdy Marek usłyszał zamykające się drzwi ubikacji, dźwignął się z posadzki. Oddychał ciężko, a w kącikach ust czuł krew. Słabo widział na oczy, gdyż powieki były opuchnięte. Powstrzymał pierwszy odruch wymiotny i osłabienie. Spojrzał na leżącą tuż obok niego matkę i chwycił ją za ramię. Leżała w kałuży krwi, która niczym strumień przenikała letnią sukienkę cały czas gromadząc się na podłodze. Kobieta otworzyła oczy, jej wzrok był mętny. Czuła, że wkrótce umrze.

- Mamo! – szepnął jej do ucha i przytulił mocno, tak jak dziecko (którym przecież był!) kochające swoją matkę. Położył drobną dłoń na brzuchu starając się tamować ranę. – Mamo!

Jego głos był rozpaczliwy. Po policzku spływały kaskady łez i opadały na ciało rodzicielki. Minęła chwila, potem druga. W mieszkaniu panowała kompletna cisza, przerywana cichymi szmerami w łazience. Chłopiec mocniej ścisnął dłoń matki, jakby chciał przywrócić ją do życia. Dziecięce serce łomotało w szaleńczym tempie.

- Już dobrze – jedwabisty głos matki przerwał pogłębiającą się ciszę. Marek otworzył oczy i zobaczył twarz osoby, którą tak bardzo kochał. W jej spojrzeniu nie zauważył osłabienia, ba!, było całkowicie inne, zdawało się być radosne. Gdy tylko o tym pomyślał kobieta uśmiechnęła się.

- Możesz już zabrać rękę z mojego brzucha. Wystarczy już tego dobrego.

Marek skierował swój wzrok na podolek kobiety. Sukienka nie była przesiąknięta krwią, a na podłodze nie było jej nawet kropli. Zdziwiony otworzył usta pragnąc powiedzieć cokolwiek.

- Zawsze wiedziałam... że jesteś specjalny. Lepszy od innych! – Matka uradowała się i przytuliła syna. W tej samej chwili z łazienki wyszedł ich oprawca. Ręce wciąż miał umazane szkarłatną mazią, nie mogąc domyc jej w umywalce.

- Co jest, do licha! – stanął jak wryty zobaczywszy jak jego żona, którą pchnął siedem razy nożem żyje i nawet nie krwawi, a syn oberwawszy mocniej, niż niejeden podczas burdy w pubie, ot tak się uśmiecha zadowolony z życia.

Chłopiec, gdy tylko ujrzał ojca poczuł, jak w jego żyłach gotuje się krew. Wściekłość ogarnęła go niczym nurt rwącej rzeki spowijający wystające kamienie. Wstał, delikatnie odsunawszy matkę. Gdy olbrzym ruszył w jego stronę wyciągnął w jego stronę swoją rękę, na której nie dostrzegł żadnych śladów poparzeń po torturowaniu zupą.

- Stój! – jego słowa odbiły się echem w pomieszczeniu. Mężczyzna, jakby na rozkaz, zatrzymał się w połowie kroku. Jego mina sugerowała, że sam był tym faktem zdziwiony.

- Zabiję cię, kości połamię! Tobie i tej... - nie dokończył. Wyciągnięta w jego stronę dłoń zacisnęła się, a usta olbrzyma zamknęły się, jakby zamknięte klamrą.

- Teraz ja mówię – powiedział spokojnie syn. W jego spojrzeniu było coś, czego zląkł się jego ojciec. Ogromna siła, o której istnieniu nie wiedział i nie dostrzegał jej w tym chudym niczym źdźbło chłopcu.

Marek delikatnie kiwnął nadgarstkiem w prawo, a ciało ojca wylądowało na pobliskiej ścianie. Szybki ruch ręki w drugą stronę i ojciec wleciał do pokoju, gdzie jeszcze pół godziny temu włączona była chińska bajka. Mężczyzna upadł na szklany stół, który pod jego ciężarem zarwał się raniąc jego ciało. Chłopiec powoli kroczył za swoim byłym prześladowcą.

Olbrzym z wielkim wysiłkiem dźwignął się na nogi, dysząc ociężale. Jego syn szedł z wysuniętą do przodu dłonią, a palce trzymał złączone ze sobą. Dookoła niego wirowała magia, sprawiając, że cały budynek lekko drżał.

- Zakończmy to – powiedział patrząc ojcu w oczy. Zobaczył w nich strach, którego nigdy nie widział wcześniej w tych szaro-niebieskich oczach. Rozcapierzył palce, a z ciała rodziciela dobiegł trzask rozrywanych kości. Z ust spłynęła fontanna szkarłatnej posoki. Martwe truchło upadło na perski dywan, brudząc krwią.

Chłopiec uśmiechnął się z satysfakcją. Zmierzył ciemną grzywkę, która zawsze mu przeszkadzała, ale matka ją uwielbiała, dlatego ciągle ją nosił. Teraz i on ją polubił. Czuł też, że będzie to początek czegoś wielkiego. Jak w tych bajkach co je wciąż oglądał. Został potężnym magiem i teraz zmieni świat... na lepsze!

Wrócił do matki, która wciąż siedziała na podłodze. Gdy wszedł do pokoju uśmiechnęła się do niego w zadowoleniu.

- Wiedziałam, że dasz sobie radę!

Podszedł do niej i ucałował ją w czoło, a następnie przytulił się do niej z całych sił.

- Uważaj, bo mnie zgnieciesz! – zażartowała.

- Już nie musisz się bać niczego, mammo! Teraz nikt nie zrobi nam żadnej krzywdy!

- Wiem, synku, wiem! – wytarła łzę z jego policzka, która ostała się, gdy płakał nad jej ciałem. – Jesteś zmęczony?

Chłopiec zastanowił się. Był wyczerpany. Widocznie magia tak działa na ludzkie ciało. Czuł nieznaczny ból głowy, a jego mięśnie zdawały się osłabione, jak po wielkim wysiłku fizycznym. Przytaknął więc słowom mamy.

- Połóż się, tutaj – wskazała swój podolek. Marek złożył tam głowę. Ogromne ciepło rozlało się dookoła. Relaksujące osłabienie pojawiło się w jego mięśniach, a ból w skroni jakby przygasł. Sen zbliżał się powoli – to przymykał, to otwierał oczy.

- Mammo? – zapytał zapadając w drzemkę.

- Tak, synku? – pogłaskała go delikatnie po włosach.
- Czemu teraz mam to... Czemu dopiero teraz mam moc?
- Nie wiem. Nie znam się na tych sprawach. Może to miłość?
- Może – westchnął cicho. – Kocham cię – dodał przez sen.
- Ja ciebie też, Mareczku.

Obudziło go osłepiające światło. Leżał na jakimś niewygodnym łóżku nie mogąc się poruszyć. Oczy miał opuchnięte, a mięśnie obolałe, w skroniach czuł otepiający ból. Starał się krzyczeć, jednak nie mógł. Językiem wyczuł, że brakuje mu kilku zębów.

Wzrok dostosował się po chwili do natężenia jasności i zobaczył koło siebie kilku krzyczących aniołów w biało-zielonych uniformach. Nie wiedział, czy to aby na pewno są aniołowie, jednak to słowo wydało mu się odpowiednie, chociaż te istoty nie posiadały skrzydeł. Ich głosy dochodziły jakby z bardzo, bardzo daleka. Niewiele mógł usłyszeć, a jeszcze mniej zrozumieć. Próbował się podnieść ponownie i wtedy istoty dostrzegły go.

Stworzenia podbiegły do niego natychmiast, gdy tylko zobaczyły jego ruch. Mówili i gestykulowali pośpiesznie, jakby się czegoś obawiali. Jedyne słowo, jakie wychwytał, zdawało mu się bardzo obce, a brzmiało ono:

- Narkoza!

Po chwili nałożyli mu na usta jakąś maskę, która sprawiała, że lepiej mu się oddychało. Stawał się senny, a ból mięśni osłabł. Nawet głowa przestawała go boleć. Leżąc na posłaniu, prawie zasypiając, usłyszał krótką wymianę zdań:

- A co z kobietą, która przyjechała z chłopcem?
- Siedem ran kłutych, zmarła w karetce.

Marek zasypiając zrozumiał, że w tym świecie nie ma magii, a dobro nie zawsze zwycięża tak jak w telewizyjnych kreskówkach. Po karminowo-śliwkowym, opuchniętym policzku spłynęła łza.